

Karol Kłosowski, Zakopane: „Podolanka".

ROK IV. **15. MAJA 1928.** **Nr. 10**

Cena numeru pojedynczego 60 groszy.

DZIŚ I JUTRO

PISMO DLA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ

WYCHODZI 1. i 15. KAŻDEGO MIESIĄCA.

ROK IV. 15. MAJA 1928. № 10.



Mehoffer. Zesłanie Ducha Świętego.

VENI CREATOR.

W martwocie ducha i w niewoli formy,
Porwani prądem gnającym bez celu
Czekamy na Cię, Duchu Stworzycielu,
— — — — — — — — —

Któremu imię „Koniec i Początek"
Czekamy Ciebie w tęsknicy i lęku,
Czekamy — na Twój dzień Zielonych Świątek.

Bo w atmosferze jaskrawej afiszu,
Zalecającej beztreściwość własną
Jest sercom naszym duszno i za ciasno.
O przyjdź w swych ogni palącym wybuchu
rwać skuwające nam serca obręcze
i w nowe kształty wlewać miłość dawną.

Rozpal ogniska dawnych ideałów,
wieczne tęsknoty oblecz w nowe tęcze
o Paraklecie, o Mocy, o Duchu.

Bo pod tyranją barw i form i kształtów
myśmy — o przepuść Panie — zapomnieli,
że ojce nasze miłość w sercach mieli.

Lecz zapatrzeni w kalejdoskop wrażeń,
Co przed oczyma naszemi wirują
Czujemy nagle, że tchu nam brakuje —

Więc podnosimy zalęknione oczy,
Czyli nie widać w chmurach Twego znaku,
Czy na niebiosach różowych, bezbrzeżnych
już nie rozpinasz swoich skrzydeł śnieżnych,
O upragniony, srebrnopióry Ptaku!

O Duchu święty, my Ciebie czekamy
jako Cię ongiś uczniowie czekali
Strwożeni — w mrocznej wieczernika sali.

S. M. T.

ŻYCZENIA MATURYCZNE.

(List S. Przybyszewskiego do p. H. L. — Ze zbiorów prywatnych).

Z myślą o własnych dzieciach, które nieskończenie kocham, piszę do Pani, choć to podobno nie wypada wobec tego, że Pani już prawie dorosła:

Złote Dziecko!

Tak żywa w mej pamięci rozmowa z Panią u Jej wuja i takie głębokie współczucie z Pani lękiem przed maturą — może stokroć większy przeżyłem sam i właśnie wskutek tej nieszczęsnej matematyki — że wprost korci mnie, by Pani temi paru słowy dodać otuchy i odwagi. A wiem, co dobre i mocne słowo znaczy.

A było to tak:

Zrozpaczony chciałem już wycofać się z egzaminu, i właśnie w chwili najcięższej udręki przyszedł do mnie późną nocą dawno już zmarły mój przyjaciel i powiedział mi: Wiesz Stachu czasami cuda się dzieją, ja mam zadania matematyczne, które były przerabiane przy maturze przed pięciu laty — wiesz co? przeróbmy je teraz. Całą noc przesiedzieliśmy nad zadaniami, o których najmniejszego pojęcia nie miałem.

I wie Pani co?

Stał się istotnie cud!

Profesor otworzył zamkniętą kopertę i odczytał zadania: jedno, drugie, trzecie, czwarte — to wszystko, com przez całą noc przerobił!

Dziś jeszcze odczuwam to święte przerażenie wobec tego cudu!

Do czego zmierzam?

Otóż coś kazało memu przyjacielowi przyjść późną nocą do mnie z pomocą — i to „coś“ każe mi — cichemu przyjacielowi Jej rodziców i serdecznemu Twojemu, Pani, przyjacielowi, a szkoda, że Cię córką nazwać nie mogę — przyjść Ci w tej ciężkiej chwili wprawdzie z inną pomocą, ale bywa, że ta jest silniejszą od tamtej. Idź Pani śmiało, odważnie, bez lęku z silną i mocną wiarą w ten egzamin, a złoży go Pani!

Wierzy mi Pani?

A teraz serdeczny i dobry uścisk rączek i wewnętrzne przeświadczenie, że moja wiara będzie pomocą.

Stanisław Przybyszewski.

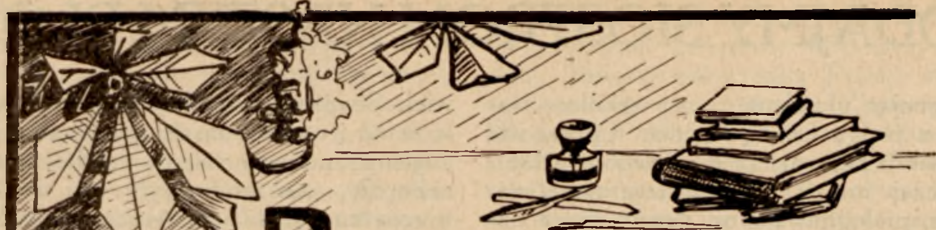
Gdańsk, 14-go kwietnia 1923.

UŚMIECHNĘŁA SIĘ WIOSENKA...

Uśmiechnęła się wiosenka
złotą zorzą ponad światem
i zajrzała do okienka
tym wiśniowym białym kwiatem!

I zajrzała kwieciem białem,
smugą słońca w me podwoje, —
aż się w duszy roześmiałem,
aż ożyło serce moje!...

E. Kłoniecki.




PO MATURZE

Kwitną kasztany.
W powietrzu woń subtelna,
Przemiła...
— — — — — — — — —
Jadź mój kochany,
Już samodzielna
Praca nas czeka!
— Żebyś Ty była
Ze mną, Jadzieńko!

Cicha, daleka,
Wieś jakaś miła,
Szkoła maleńka —
Tam nieść oświaty
Promienie!
— — — — — — — — —

Pachną kasztanów kwiaty.
Gałązki wietrzyk porusza —
Wieczorne kładą się cienie —
Gdzie niegdzie w mrocznej dali
Jaśnieją blade latarnie.
— — — — — — — — — — — — —
Razem. A serce się pali.
Razem! Wyrywa się dusza
Do pracy. — Dziatwę się zgarnie,
Jej serce, umysł rozszerzy,
Rozwinie do lotu skrzydła,
Pokaże cele
Przepiękne!...
Razem pracujmy tu, czy na rubieży.
Pracy się żadna nie zlęknie,
Do niej gotowa...
— — — — — — — — — — — — —
W powietrzu woń, jak z kadzidła
W kościele...
Subtelna woń kasztanowa.
— — — — — — — — — — — — —
Pierwszy raz czuję zapach kasztanów wie-
[czorem.
O, jak mi tęskno za wsią, za łanem, za
[borem!..
— List miałam z domu... Mama mię prosi,
Żebym objęła szkołę w Podrosi.
I wuj tak radzi —
Czy chce się Jadzi
Pojechać ze mną?...
— — — — — — — — — — — — —
Wiatr gałązkami szeleści,
Coś szepce długo, coś wieści
Mową tajemną...
— — — — — — — — — — — — —
Jadźko, jedź ze mną!...

M. Zł.

PODAJMY SIOSTROM NASZYM DŁOŃ!

Żegnając ukochane mury szkolne, stajemy u progu nowego życia. Cieszy nas zapowiedź samodzielności i swobody. Młodzieńczej radości naszej towarzyszą marzenia, pielęgnowane od dawna, może nawet rojenia o sławie, o wybiciu się na pewnem polu pracy, rzadziej krystalizuje się plan życiowy.

W każdym razie serca biją żywszem tętnem, a w rytmie ich uderzeń szuka wyrazu umiłowanie dobra i prawości, piękna i szlachetności.

Nie wszystkie z nas rozwiną zdolności swe w kierunku wiedzy ścisłej, wielka liczba tegorocznych abiturjentek wejdzie w życie praktyczne, w wir gospodarczych zajęć i prac. Jedne z nas staną obok matek swych, gotowe odjąć nieco ciężarów codziennych z drogich głów i ramion. Dla niejednej z nas klucz od śpiżarni stanie się symbolem nowego władztwa lub cząstkowego narazie sterowania domem, — inne, które własna powita wioska, zajmą się gospodarstwem podwórzowem, pasieką, ogrodem i sadem.

Pewna liczba naszych koleżanek smutnie jednak zwiesza głowę. Nowy okres życia nie uśmiecha się im wcale. Jedne pragną, a nie mogą kształcić się wyżej, inne zaś mają takiego rodzaju zamiłowania, które w szkole i w zakładzie wychowawczym dawały im pole współzawodnictwa i pracy; n. p. artystyczne roboty ręczne, rysunki, malarstwo, śpiew, muzyka, gimnastyka rytmityczna, występy i popisy sceniczne. Więc martwią się teraz, że z tem wszystkiem trzeba się pożegnać lub ścieśnić zakres ulubionych zajęć, a conajmniej stracić możność porównywania własnych prac i wyników ćwiczeń z wysiłkami koleżanek.

Czeka nas więc moment poważnej refleksji, czy może nasze uzdolnienia mają w nas pozostać nieczynne, zmarnieć może w przyszłości?

Nie! Młode jesteśmy, życie i praca, zdobywanie plonów jest przed nami! Cokolwiek Stwórca szczodrą swą ręką złożył w serca i umysły nasze, musi wyłonić się, abyśmy żadnego talentu niebacznie nie zakopały, ale pomnożyły go, i kiedyś u schyłku życia bez wstydu zdały liczbę z włodarstwa swego.

Pełne wiary i radości idziemy w świat i życie! Każdy kwiatek przydrożny jest nam miły, każdy krzew, zwierzę i wszystko co żyje i bytem swym chwali Stwórcę, bliskie nam jest i drogie, zwłaszcza to młode życie w stanie wzrostu i rozwoju, to jakby odbicie naszego własnego życia. Wszystko wokoło nas w przyrodzie ma cechy siostrzane, razem z nami rozwijać się będzie, rosnąć i zbliżać do pory żniw.

Starajmy się, abyśmy w porze żniw nie pozostały bez plonów, abyśmy nie biadały, że puste serca i puste ręce nasze odstraszają ludzi od nas, że nikt nie uznaje nas za siostry.

Z większą miłością niż do roślin i zwierząt, zwróćmy się w stronę sióstr naszych, którym życie nie dało tak korzystnych warunków rozwoju jak nam.

Pomyślmy serdecznie o dziewczętach, równych nam wiekiem i młodszych nieco od nas, co opuściły mury miejskich szkół powszechnych, lub dwu, czy czteroklasowych szkółek wiejskich, dla których kaganek oświaty przez nas może być utrzymany i rozdmuchany w żywy, bujny płomień prawdziwego światła. Wiele nam dano, wiele od nas Bóg żądać będzie. Zbliżmy się do sióstr naszych, podajmy im dłoń pomocną. Żyjąc w mieście, szukajmy biednych robotnic, ubogich pracownic igłą, dziewcząt z handlu i biur, na wsi otoczmy się młodemi dziewczętami, tą prostą, surową może Kasią i Marysią, córką gospodarską lub robotnicą dominjalną, własną młodą sługą i najemnicą, dowiadujmy się, czy w naszej miejscowości rodzinnej lub w sąsiedztwie niema Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej, Katolickich Dziewcząt lub Młodych Polek. Zorganizowanym dziewczętom łatwiej i poży-

teczniej jest służyć pomocą. Współpraca w patronatach tychże Stowarzyszeń daje możność rozwijania własnych zdolności, stałego dokształcania się, znalezienia nietylko pola pracy, ale pola zasług. W Stowarzyszeniach tych jest sposobność uspołecznienia się i przygotowania się do obowiązków obywatelskich. Dając upust swoim zamiłowaniom, możemy w tych Stowarzyszeniach uczyć robót ręcznych, rysunków, gier ruchowych, ćwiczeń gimnastycznych, zaznajamiać możemy z historją, literaturą, nauką o przyrodzie, możemy uczyć deklamacji, śpiewu, przygotowywać zebrania dziewcząt, na uroczystości religijne i narodowe. Organizacja dziewcząt stoi obecnie w przededniu „Święta Druchen“, połączonego z kultem Matki Boskiej, Królowej Korony Polskiej. Ileż to sposobności nastręcza się, aby wchodząc w szersze życie, poznać organizację, w której w przyszłości odegrać możemy rolę dzielnych współpracowniczek, kierowniczek, dyrektorek i patronek.

Gęstą siecią Żeńskich Stowarzyszeń Młodzieży Polskiej pokryła się już Polska. Liczba ich wzrosła do imponującej cyfry 1.588, liczących przeszło 40.000 członków. Oświatowa i wychowawcza praca w Stowarzyszeniach z ducha katolicką i narodową, daleką jest od polityki i partyjnictwa.

Lokalne Stowarzyszenia przynależą do djecezjalnych Związków Młodzieży Polskiej, Związki zaś z całej Polski skupia ogólno-krajowa centrala: Zjednoczenie Młodzieży Polskiej z siedzibą w Poznaniu. Centrala ujednolica ruch organizacyjny młodzieży pozaszkolnej w całym kraju, celem ułatwienia pracy wydaje pomoce oświatowe dla swych współpracowników. Do specjalnych wydawnictw dla dziewcząt należą: miesięcznik „Młoda Polka“, „Teatr dla młodzieży żeńskiej“, „Bibljoteka Wieczornicowa“. Podręcznikiem, przygotowującym do współpracy, jest „Kierownik Stow. Mł.“ miesięcznik dla członków zarządu i osób współdziałających w Stowarzyszeniach Młodzieży.

Z okazji końca roku szkolnego zainteresujmy się życiem i pracą Stowarzyszeń Młodzieży Polskiej. Historję organizowania dziewcząt znajdziemy w 5-tym, majowym numerze „Młodej Polki“. (Zamawiać można w „Ostoi“ Poznań, ul. Pocztowa 15). Młodsze z nas bawiąc na wakacjach, zbliżyć się mogą do dziewcząt zorganizowanych, starsze zaś, opuszczające na zawsze próg szkoły, niechaj dłoń swoją wyciągną do mniej szczęśliwych od siebie sióstr, tych z suteren i poddaszy i tych z pod strzech, a Bóg im tę czynną miłość bliźnich stokrotnie oprocentuje wielką sumą zadowoleń i w wieczności odpłaci.

C. Wolniewiczówna.

ALDONA i GRAŻYNA.

II.

Przypatrzmy się teraz drugiemu typowi kobiety, oddanemu w poezji na tle mniejwięcej tejsamej epoki i podobnych stosunków krzyżacko-litewskich.

Grażyna, żona księcia na Nowogródku, Litawora, „córka na Lidzie możnego dziedzica“, piękna księżna — nie lubiła robót kobiecych, przekładając nad nie rozrywki rycerskie. „Na żmudzkim rumaku, w szorstkim, ze skóry niedźwiedziej kirysie“ często uganiała na łowach. Z mężem dzieliła nietylko zabawy, lecz i trudy rządzenia państwem. Często „wojny i sądy i tajne układy“ zawierane bywały według rad Grażyny, która jednak kryła się z tem.

„Bo wyższą była nad żon prostych rzędy,
Które zbyt rade, że pracują doma,
Chciałyby z tem się popisywać wszędy“.

Taiła wpływ swój na męża, aby **jego** osobę podnieść, aby **on** słynął jako mądry wódz i wielki władca, aby **jego** sławiono i kochano, bo — kochała go. Była to miłość głębokiego serca, uczucie, któ-

rem kierowała uskrzydlona psyche, a nie motyli sentymentalizm.

Nie było to ubóstwienie bezmyślne. Grażyna znała męża, wiedziała, że był człowiekiem nieopanowanym, chciwym, zazdrosnym, że chciałby posiąść gmachy Witolda na Trockiem jeziorze, jego kobierce, haftowane w liście srebrne przez branki Polki, jego szyby z okien i blachy złote z murów ściennych. Wiedziała, że mąż pożąda władzy równej Witoldowi i wypłaty jej posagu, wiedziała, że żądania swe poprzeć chce zbrojnem wystąpieniem. Wiedziała o tem, ale niewezwana na naradę wojenną, nie wdziera się, nie narzuca.

Gdy prosty instynkt sumienia i logika uczciwości Rymwida nie mają władzy nad Litaworem, gdy rozkazy do bratobójczej walki wydane, gdy Rymwid, szukając ratunku, wyjawia Grażynie całą sytuację i plan sojuszu z Krzyżakami — księżna nie zdradza swego oburzenia i przestrachu, wie jedno tylko, że trzeba działać, trzeba ratować honor panującego wobec jego ludu, honor patrjoty wodza wobec narodu, honor człowieka kochanego przez nią — więc daje rozkaz odprawienia Niemców.

Gdy rozkaz skwapliwie spełniono, gdy groźby obrażonych posłów i chwila refleksji uprzytomniają Grażynie skutki zbytniego pośpiechu — ona nie waha się, przyjmuje konsekwencje, stawia wszystko na jedną kartę, bo wszystko lepiej niż hańba! Uświadamia sobie potrzebę poświęcenia własnej osoby, — więc niepoznana w zbroi Litawora staje na czele hufców i rusza do boju.

Ginie w odmęcie walki, a spóźniony żal, zbudzonego zgiełkiem bitwy Litawora, nie wraca już jej życia, lecz Litwinów prowadzi do zwycięstwa.

Stos, na którym płoną zwłoki rycerskiej księżny unosi w dymie ofiarnym prochy kobiety, która umarła, a nie dała człowiekowi kochanemu spodlić się, nie dała splamić honoru wodza-patrjoty, nie dała upaść moralnie.

Grażyna umarła przez nadmiar kochania nie jednego tylko człowieka, ale całego narodu.

Jakże różne są te dwa poświęcenia: Aldony i Grażyny! — Pierwsze — jałowe, bezpłodne, drugie — bogate w skutki. Tamto — niejako instynktowe, nieopanowane przez słabą duszyczkę, to — świadome siebie, prześwietlone myślą, ogarniające głębią wyższej duszy dalekie horyzonty, i pielęgnujące wyższe wartości w ukochanym człowieku.

We wszystkich epokach cywilizacji były i będą zawsze Aldony i Grażyny, gdyż siła poświęcenia jest wielkim motorem duszy kobiecej.

Tragizmem jej jednak jest, że nieraz spala się na ołtarzu gdzie... niema bóstwa, tylko bałwanek, ręką ludzką wyciosany.

III.

Pozostaje zwrócić uwagę na całość ideologji Wallenroda.

Wrogowie nasi w latach niewoli zarzucali poetom naszym, że idealizują zdradę, że dają Polakom wzory fałszu i obłudy, i uczą zdradliwości, że Wallenrod i Irydjon są poematami ducha narodowego naszego.

Są niemi — ale nie z tej strony jaką tylko dostrzegać umieli napastnicy. Genjusze nasi oddawali rozpacz narodu w niewoli, — tragizm tej rozpaczy pchającej do zdrady, — i tragizm tej zdrady. Bohaterowie ginęli sami, a dzieła ich nie wyzwalały narodu.

To było właśnie napiętnowaniem niewystarczalności zdrady dla odrodzenia narodu.

Grażyna dłoń swoją kobiecą położyła w poprzek drogi, którą chciał wpełznąć wąż zdrady.

Mickiewicz schrześcijanił tutaj piękną duszę poganki, ozdabiając ją głębokiem rozróżnieniem dobra i zła, kosztem własnego życia.

Ludwika Życka.

GAM-ZU.
(LATARNIA MĄDROŚCI).

(Ciąg dalszy).

Lejba chwycił się za głowę, rwał włosy i jęczał. Kobiety, stojące pod oknem, zaczęły głośniej lamentować i dobijać się, by je wpuszczono. Doktór otworzył drzwi i poważnie, z palcem na ustach, wpuścił je — siadły więc w ciszy i tylko kiwaniem się i łzami wyrażały swą boleść.

Doktór przepisywał jeszcze długo jakieś lekarstwa, dawał wskazówki i obiecał przyjść nazajutrz. Ledwie wyszedł, rzuciły się Ruchle, Gitle i Sara ku Lejbie:

— Nu, co on powiedział?

— Czy Mojsze umrze?

Lejba machnął tylko znacząco ręką... Wkrótce Gitle z matką wróciły do domu. Ruchla spojrzała zrozpaczonym wzrokiem na męża:

— A co będzie, Lejba, jak nasz mały umrze przez twego starego?

— Zabiję go — odburknął ponuro Lejba.

Mojsze leżał cały czas z zamkniętemi oczami, z obrzękłą twarzą, nie dając najmniejszego znaku życia. Lejba nie poszedł do synagogi ani tego wieczora, ani w sabat, a dopiero w sobotę popołudniu Abram zjawił się u syna. Lejba, milcząc, pociągnął go do izby, gdzie leżał Mojsze:

— Coś ty z nim zrobił? — spytał surowo — mów prawdę; zbiłeś go za to, że nie chodził do hederu, ty stary zbóju! — i rzucił się na Abrama.

— Puść! — wrzasnął stary — i słuchaj, co ja ci powiem. Twój syn, to goj, ja go widziałem jak on się modlił pod krzyżem, tfuj! — obrzydły goj! niech on zginie marnie!

Lejba trząsł się cały, ręce opadały mu zwolna, ale widać miłość ojcowska walczyła z oburzeniem, bo rzucał to i owo na obronę syna:

— Bachor jeszcze głupi! Jeszcze się wszystko naprawi, byle on wyżył — doktór mówi...

— Ty nie śmiej wzywać doktora do niego, niech on zginie, zamrze tak — i Abram zbliżał się groźnie z kijem do łóżka wnuka.

— Precz stąd! — wrzasnął nieludzko Lejba, wyrwał kij z rąk Abrama i wypchnął go gwałtem za drzwi.



Zbliżał się do łoża Mojsze z ogromnym kijem.

— Żeby tu twoja noga więcej nie postała! — Zatrzasnął drzwi i wrócił do syna.

Mojsze leżał już dobę bez ruchu; matka zwilżała mu usta wodą, ale chłopak nic nie połykał, żył jednak, bo serce biło i czasem cichy jęk wpadał w ucho pochylonej nad łóżkiem Ruchli.

Gdy Lejba opowiedział żonie, za co Abram zbił ich syna, Ruchla wybuchła oburzeniem:

— Tak zbić! a toż dzieciak nie rozumie różnic w religjach — on widział, że chrześcijańskie dzieci tak robią, to i on to robił... A teraz on może umrzeć!

— Może to kara za sprzeniewierzenie się świętemu Zakonowi?

— Aj-waj, Lejba, to i ty taki niemądry. Czyż Pan Bóg będzie takie niewinne dziecko karać! a ten twój stary...

Wejście doktora przerwało rozmowę.

Doktór nie znalazł żadnej różnicy w stanie malca, ale mówił, że ponieważ Mojsze dotąd nie umarł, może będzie żył. Opatrywał jak wczoraj rany, zmieniał delikatnie i ostrożnie bandaże, w jakiejś chwili jednak Mojsze jęknął głośno. Ruchla rozpłakała się z radości.

— Panie, on żyje, on naprawdę żyje; on czuje! — i całowała rączki syna...

— Panie doktorze, niech mi go pan doktór uratuje! Ja mam korale, złote kolce i pierścionki, ja panu doktorowi wszystko oddam za życie mego synka!

Doktór kończył długie opatrunki, zapewniał Ruchlę, że on i bez tych korali i pierścionków zrobi, co może i co mu jego obowiązek nakazuje...

Po kilku dniach doktór już wiedział, że chłopcu śmierć nie grozi, ale uprzedzał Ruchlę, że choroba będzie długa i ciężka i trzeba się uzbroić w wielką cierpliwość, uprzedzał także, że nie będzie już przychodził codziennie, bo to na nic się nie przyda. Za całą odpowiedź Ruchla wybiegła i wróciła, niosąc sznur pięknych pereł — położyła je doktorowi na kolanach, błagając ze łzami, żeby przychodził do Mojsze codzień. Doktór pereł nie przyjął, ale obiecał strapionej matce codzienne wizyty i odszedł.

Kuracja sumienna sprawiła tyle, że Mojsze mógł już przyjmować lekkie pokarmy i trochę mówić. Gdy przychodziła gorączka po dreszczach co pewien czas, buchało ogniem od tego krótkiego oddechu, a szeroko rozwarte oczy z wyrazem zachwytu biegły gdzieś w dal...

— Na co ty tak patrzysz, Bube? — dopytywała zaniepokojona Ruchla. A Mojsze uśmiechał się tylko i nie poruszając głową, odpowiadał:

— Ja idę do czegoś bardzo pięknego, co widzę w dali...

— O moje małe Bube, co ty możesz widzieć, kiedy jest noc i tak ciemno?

— Ja niosę tę latarnię, którą mi dziadek dał, ona zgaszona, ale ona mi świeci i w ciemności, moja cudowna latarnia Gam-Zu — majaczył dalej.

— Was ist Gam-Zu? Powiedz, Lejba! — pytała Ruchla męża, trącając go, by się obudził.

— Bredzi z gorączki — odburknął Lejba — a może już idzie po spalonych zapałkach do Jerozolimy (t. zn. umiera).

Ruchla jęknęła z oburzeniem i ocierając łzy, znów schyliła się nad dzieckiem...

A Mojsze, leżąc w słabem świetle lampki, uśmiechał się wciąż do swego gorączkowego widzenia. Oto Chrystus zszedł z dużego krzyża pod lasem, ujął go za rączkę i gdzieś za sobą prowadził. Mojsze szedł obok białego, serdecznie ku niemu uśmiechniętego Chrystusa — i tak mu było dobrze...

Z każdym powrotem gorączki powtarzały się widzenia. Mojsze zżył się z niemi i tęsknił do tych godzin, nieraz dopytywał, czy dzień się prędko skończy i czy prędko przyjdzie noc, a wraz z nią gorączka... i to coś, o czem nikomu nie mówił, gdy był przytomny. Wiedział, że dziadek go zbił za tę modlitwę pod krzyżem, ale nie żałował swego czynu, owszem, obiecywał sobie, że jak wyzdrowieje, pójdzie jeszcze popatrzeć na tę bolesną, poważną twarz i ręce rozpięte na drzewie...

Raz przyszła Małgorzata odwiedzić chorego, przyniosła mu kwiatów i ziół na rany. Ruchla zadowolona, że ma z kim syna zostawić, poszła położyć się po bezsennych nocach.

Mojsze zwrócił się do Małgorzaty z prośbą:

— Pomódlcie się za mnie po waszemu, żebym wyzdrowiał, ale zaraz tu, przy mnie.

Kobieta przeżegnała się, nagle spostrzegła, że Mojsze robi to samo...

— Co ty robisz, dziecko? przecie ty żyd jesteś? — zapytała przerażona.

— Cicho, nie mówcie tak głośno, ale nauczcie mnie dobrze się żegnać. — A widząc, że kobieta nie bardzo ma ochotę spełnić jego prośbę, nalegał:

— Przecie my mamy już z sobą jedną tajemnicę, to będzie druga...

— Nie, chłopcze, nie mogę; dziadek cię za tę modlitwę zbił, a i mnieby nie darowali, gdyby wiedzieli, że cię modlitwy naszej uczę. Bądź ty dobrym i sprawiedliwym, ale żydem.

— Nie chcę!

Mojsze rozżalony odwrócił się do ściany, a gorzkie łzy kapały na poduszkę. Małgorzata wyszła czemprędzej. Kiedy Ruchla wróciła po drzemce, spostrzegła smutek malca — ale Mojsze nie chciał jej powiedzieć, o co płakał.

(C. d. n.). *F. Dobrowolska.*

ZDRAJCA.

OBRAZEK SCENICZNY W 3 ODSŁONACH.

(Napisała Alina Kwiecińska).

Kasia (siadając nadąsana): E... wyście chcieli ze mnie trusię zrobić, a ja aż się trzęsę do figlów i psoty... (Wchodzi ciotka, trochę później Terenia).

Ciotka: Będzie rychło wieczerza.

Kasia (szczerze, wesoło): Oj, to dobrze, bo mi się tak jeść chce...

Krzysia (do Kasi wesoło): Dyć kasza i polewka to babskie jedzenie, a ty babskich nie lubisz...

Kasia (zafrasowana): A prawda... ale... mi się jeść chce...

Gorzałkiewicz: He, he, he... mościa panno, przyszła koza do woza...

Krzysia (do ciotki): Zeby ciotula wiedzieli, jak tu pan stryjo krotochwilnie z Kachną gadali...

Kasia (zeskakując ze stołka): A bo pan stryjo taki ucieszny i taki dla mnie dobry... (do ciotki): i nie kazał mi iść do alkierza i dał mi powąchać tabaki, aha... (kicha) apsik! jeszcze mnie dotąd w nosie kręci...

Ciotka: O i asindźka ciągle się kręcisz i jednej zdrowaśki na miejscu nie usiedzisz... (zmierzając ku drzwiom, spotyka wchodzącego Stanisława, z przerażeniem): Chryste Panie, Stanisław... (cofa się).

Stanisław (zatrzymuje się w drzwiach z ukłonem): Niech będzie pochwalony.

Dziewczęta (cicho): Na wieki wieków.

Gorzałkiewicz (na boku): A co, mospanie, nie mówiłem, jest rycerzyk! będzie i wesele...

Bonawentura (do Stanisława chłodno): Witam waści, skąd Pan Bóg prowadzi?...

Stanisław: Z pod Wieliża z pod chorągwi wielkiego hetmana koronnego. (Podchodzi do Bonawentury, chcąc go objąć za kolana).

Bonawentura (odsuwając go): Jak waść śmiesz okryty hańbą przedemną czoło stawić?...

Stanisław (powstaje żywo): Jaką hańbą?... Co to znaczy?... (Rozgląda się po obecnych). Czemu na mnie, jakoby na wilka patrzycie?... (zwracając się do Krzysi): Panno Krzysiu, nie witasz mnie waćpanna?...

Krzysia (drżącym głosem): Dla zdrajców niema powitania.

Stanisław (cofa się przerażony): Boże mocny... ja zdrajcą?... Co to wszystko znaczy... Panno Krzysiu...

Gorzałkiewicz (na boku): Czego oni, mospanie, tak się tego chłopaka czepiają, kiedy mu całkiem dobrze z oczu patrzy...

Bonawentura (podchodząc do Stanisława): Nie zapieraj się, bo mamy czarno na białem, że z Moskalami trzymasz...

Stanisław: To kłamstwo...

Bonawentura: (podając mu list Rymszy): Czytaj waść...

Stanisław (czyta cicho, kończy i bez słowa opuszcza rękę z listem).

Bonawentura (zbliżając się do niego): A co, mocium panie, to chyba nie kłamstwo... Milczysz wasze, bo nie możesz znaleźć wykrętu na owo pisanie.

Stanisław (wzruszony): Milczę... bo mi słów nie staje na takową niecną podłość, na takowy śmiały podstęp...

Bonawentura: Coś waść powiedział? Podstęp?... (pokazując): A nie widzisz pisania mego przyjaciela?...

Stanisław (głucho): Widzę... i pieczęć ta sama... (ściskając głowę rękami): Gorze mi...

Bonawentura: A co, mociumpanie!

Stanisław: Ale to oszczerstwo... (uroczyście): Bogiem się świadczę, że to nieprawda...

Bonawentura (surowo): Nie bluźnij waść... nie wzywaj Imienia Bożego...

Stanisław (z bólem): Boże miłosierny!... więc mi nie dajecie wiary?... (z rozpaczą): Jam nie zdrajca!... (do Krzysi): Panno Krzysiu, to kłamstwo!... Mój Boże... Toć mi tej krzywdy nie czyńcie. Jam tu do was śpieszył z dobrą wieścią i otwartem sercem, a wy mię zdrajcą nazwali... Czemże zasłużyłem sobie na to miano? (pokazujęc rękę na temblaku): Patrzajcie, toć ja ranny... krew przelałem dla drogiej Ojczyzny... A wyście mnie jej zdrajcą zrobili... (pochylając się do kolan Bonawentury): O... rzeknijcie, że w to nie wierzycie...

(Krótka chwila przygnębiającego milczenia).

Bonawentura (łagodniej): Wstań wasze, jeśli żal twój prawdziwy i nie dopuściłeś się zdrady, to Bóg ci przebaczy... nam ciężko dać wiarę, bo mamy tak pewne dowody...

Stanisław (wstając): Bogiem się świadczę...

(Wbiega Kasia, której w tym czasie na scenie nie było).

Kasia (w drzwiach): I Zbyszko z wojenki powrócił! (Stanisław usuwa się na bok — wchodzi Zbyszko).

Zbyszko: Witajcie rodzeni! (ściska kolana ojca).

Bonawentura (całując go w czoło): Bogu dzięki, że zdrowo powracasz...

(Zbyszko wita się z ciotką, stryjem i siostrami, wreszcie podchodzi do Stanisława).

Zbyszko: Witaj, towarzyszu i bohaterze! (do wszystkich): Mielim razem powrócić, ale mi koń w drodze zgubił podkowę i musiałem się krzynę zatrzymać... (do Stanisława): Coś taki markotny, Stachu?... Nie chciałeś czekać na mnie, tak ci pilno było, a teraz nic nie gadasz.

Stanisław (głucho): Nie godzi się ze mną witać... jam zdrajca!..

Zbyszko: Co? Ha, ha, ha... a to dobre krotochwile... (pociągając go): Ot siadaj ze mną na ławie, poco jakieś udawanie...

Krzysia (z radością): Więc to nieprawda!...

Bonawentura: Zbyszko!...

Zbyszko: Co panie ojcze?

Bonawentura: Wyście razem ze Stanisławem walczyli?

Zbyszko: W jednym szeregu panie ojcze, jeno, że ja nie tak dzielnie się biłem, jak Staśko.

Bonawentura (na stronie): Hm... dziwne, mocium panie... (głośno): Bo widzisz, my tu mamy dowody, że Stanisław dopuścił się zdrady...

Zbyszko (zdziwiony): To nieprawda, panie ojcze. Najlepszy z niego żołnierz... Dyć mnie wiarę dacie...

Bonawentura: Może otwarcie był Polakiem, a za oczami z Moskalami trzymał...

Zbyszko: To nie może być...

Ciotka: Widać sam święty Antoni Padewski Zbyszka teraz zsyła...

Bonawentura: Hm... dziwne, mocium panie... (do Zbyszka): Trudno ci wiary nie dawać, ale może sam się mylisz. Przeczytaj to pisanie (podaje).

Zbyszko (przeczytawszy): To dziwna sprawa... pisanie i pieczęć imć p. Rymszy. Albo on się myli, albo list fałszo-

wany... (po chwili): Na miły Bóg! Toć ja tu mam pismo od niego do p. Rymszyny...

Bonawentura (podchodząc żywo): Pokaż, mocium panie... (Gorzałkiewicz podchodzi również).

Zbyszko (pochylony nad listem): Możem teraz łacno to pismo rozpoznać...

Bonawentura (oglądając): Hm... mocium panie, podobne, bardzo podobne... i pismo i pieczęć, ale nie to samo.

Stanisław: Bóg wykrył moją niewinność!...

Krzysia (wzruszona): Panienko Przenajświętsza!...

Bonawentura (składa list, poczem chodzi chwilkę zamyślony; zatrzymując się): Tak, mocium panie, teraz widać, że to fałsz... (do Stanisława): A ty niesprawiedliwie osądzon...

Zbyszko: Toć z niego najlepszy wojak, nie zdrajca... (pokazując): Sam hetman Zamojski tym krzyżem go odznaczył.

Bonawentura (wzruszony): Stanisławie, stała ci się krzywda, ale nie z naszej winy, jeno z czyjejś złości... Teraz, gdy się wykryła twoja sprawiedliwość, cofam swoje słowa i witam cię jak syna. (Stanisław podbiega i schyla mu się do kolan). Bonawentura (ściskając go za głowę): Nie chowaj do nas urazy...

Stanisław (wstając, z radością): Jużem wszystko zabaczył... (do Krzysi): Czy i waćpanna mi już wiarę dajesz?...

Krzysia (wzruszona): Jam zawżdy wierzyła w poczciwość waćpana i ani na chwilę nie wątpiłam o tem...

Stanisław: Bóg ci zapłać, bom myślał, żeś i waćpanna na mnie krzywa, a to mnie najwięcej bolało... (Wchodzi pachołek).

Pachołek: Giermek od imć pana Rymczy o wejście prosi.

Bonawentura: Dawaj go tu! (pachołek wychodzi): To ten sam, co pisanie przynosił, może się co od niego dowiemy...

Gorzałkiewicz: A to szelma, mospanie, ten, co mu takie niecne kłamstwo nakazał. (Wchodzi Szymko).

Szymko (kłaniając się nisko): Niech będzie pochwalony...

(C. d. n.). *Alina Kwiecińska.*

MOJA PIERWSZA PENSJA.

Byłam biednem dzieckiem, prawie niewidomem, gdyż mając pół roku zachorowałam ciężko na oczy i o ile pamiętam, to aby coś lepiej zobaczyć podnosiłam palcami powieki. Nie myślę jednak aby mi to zbytnio humor psuło, gdyż na przekór wszelkim biedom los mnie obdarzył wybitnie wesołą naturą, wciąż się śmiałam i skakałam. A śmiać się nie było czego! Smierć braciszka, utrata ojcowizny i najsmutniejsze — śmierć ukochanego ojca w dalekiej, obcej stronie północnej... Biedna moja młodziutka Matuchna włożyła żałobę aby jej już nigdy nie zdjąć... Miałam trzy lata w chwili śmierci ojca, byłam malutka, a jednak pamiętam doskonale ten dzień okropny, choć wtedy nie zdawałam sobie sprawy z niedoli naszej. Tylko, rzecz dziwna — rozpieszczona i krzykliwa, aby płakać za ojcem chowałam się w ciemny kąt i taiłam przed dorosłymi te łzy. I tak było długo, bardzo długo, — prosiłam Mateczkę o śpiewanie mi ulubionych piosenek ojca i siedząc za dużym starym fotelem płakałam cichutko, bez szlochania, z rozpaczą w małem sercu. Jestem pewna, że nikt nigdy nie domyślił się, że ta wesoła dziewczynka umie tak cierpieć. Pamiętam sanie z trumną sunące przez wielką północną rzekę, garść wygnańców żegnających nas i powrót w rodzinne strony. Powrót na piękną, słoneczną Ukrainę, do dużego pałacu wujostwa, który momentalnie zaludniłam baj-

kami ukochanej niani Iriny. W pierwszej chwili po przyjeździe przeżyłam niespodziewany ból i zawód, ale był to ból krzykliwy, od którego cały dom zadrżał w posadach. Miałam tam poczciwą nianię Rosjankę, która wbrew wszelkiej polityce kochała małą Polkę, śpiewała jej i miała kopalnię bajek o smokach i królewnach. W chwili rozstania zrobiłam gwałt, niania musi też jechać! Żadne prośby i groźby nie pomagały, więc ktoś pomysłowy zapewnił mnie, że nianię dla wygody spakują do kufra, a na Ukrainie otworzą i będzie ze mną. Uwierzyłam, nie znałam kłamstwa, ufałam otoczeniu i czekałam cierpliwie końca długiej podróży. Mylili się starsi, myśląc że dziecko zapomniało. Ujrzałam kufer z nianią wnoszony na schody, pobiegłam do matki z prośbą: „Mamunciu, proszę otworzyć kufer, dać niani obiad“. — Jakiej niani, jaki obiad? Kufer otwarli, niani ani śladu! Upadłam na podłogę, krzyczałam, kopałam nogami, darłam sukienkę, słyszałam, jak ktos powiedział: cóż za okropne dziecko! A to był pierwszy zawód, spowodowany kłamstwem.

Zycie nasze płynęło dalej wśród miłego otoczenia, licznych sąsiadów, ale ból pozostał głęboko w sercach. Przeszłam parę operacyj oczu, widziałam lepiej i bardzo szybko nauczyłam się czytać. Co za rozkosz! Kizia i Mizia, dwa miłe kotki; pani Dulska i jej pieski, a nadewszystko „Dzień grzecznej Helenki“, Klementyny z Tańskich Hoffmanowej. Do dziś dnia pamiętam każde słowo tej książeczki, wtedy czytałam ją stale, kończyłam i znów zaczynałam, a Helenkę uważałam za niedościgniony ideał, kochałam ją jak siostrę, marzyłam o niej i postanowiłam ją koniecznie poznać. Miałam wtedy 7 lat. Jak to poznanie miało się odbyć nie wiedziałam, istnienie jej dla mnie nie ulegało wątpliwości, mieszkała w Warszawie, chodziła do Saskiego Ogrodu, a była tak grzeczna, że poznam ją natychmiast, a i ona mnie zrozumie. Warszawa jednak była widocznie bardzo daleko, rzadko kto tam jeździł, — jeśli jeździł, miał zawsze moc kufrów, jakoś nie zanosiło się na to, abym prędko Warszawę i Helenkę ujrzała. Nagle, bawiąc się kiedyś w rogu salonu, posłyszałam rozmowę starszych: „trzeba Minię oddać do zakładu naukowego, jest bardzo zdolna“, ktoś wtrącił uwagę, że wobec utraty majątku musi mieć prawa, a więc najlepiej do instytutu panien szlacheckich w Kijowie, i blisko, i nauki dobrze stoją, języki doskonałe. Jak to się stało — nie wiem, dość że w krótkim czasie jechałam do instytutu panien szlacheckich i znalazłam się przed dostojnem obliczem pani „dyrektrysy“. Omówiono warunki, stałam przy oknie patrząc na drzewa szkolnego ogrodu, i nie zdawałam sobie sprawy z ważności chwili. Nagle pani „dyrektrysa“ wzięła mnie za rękę, pociągnęła ku sobie i znalazłam się na kolanach dostojnej damy, obleczonej we wspaniałą, czarną atłasową szatę.

— Milutka, bardzo milutka, — odezwała się w obcym języku, dotąd rozmowa toczyła się po francusku, co mnie nie raziło, gdyż mówiłam sama dość biegle, gdy posłyszałam to słowo „mileńkaja“, obie moje pięści wparły się w biust pięknej damy i wrzasnęłam niespodziewanie dla siebie i dla otoczenia: „Nie dam się zostawić u Moskali, nie chcę Moskali, chcę do domu!“. Spadłam momentalnie na podłogę z dostojnych kolan, posłuchanie się skończyło, a ja wracałam płacząc w dorożce, upominana przez ciotkę, jako złe, krnąbrne i niegrzeczne dziecko. I znów byłam w domu i znów starsi radzili, co ze mną zrobić. Istotnie grzecznością nie grzeszyłam, a cała rodzina godziła się stale w zdaniu, że: „ta biedna Marynia rozpuszcza Minię niemożliwie i psuje okropnie“. Biedna moja młodziutka i śliczna Mateczka! Byłam nieznośna, to prawda, ale byłam jej całą pociechą. Więc znów narady: „rośnie wśród chłopców (miałam samych kuzynów), nabiera niemożliwych manier“ i t. d. i t. d. i znów wypłynął zakład naukowy, ale tym razem posłyszałam słowo Warszawa. Warszawa! Helenka, co za szczęście! Aniele Stróżu, doprowadź. Anioł Stróż to był najlepszy a cichy przyjaciel.

(Dok. nast.). *M. Zmigrodzka.*

O ROŚLINACH OGRODOWYCH,

JAKIE MOŻEMY HODOWAĆ W MIEJSCACH MAŁO SŁONECZNYCH.

Rozpowszechniło się u nas niesłuszne mniemanie, że piękne kwiaty możemy mieć tylko w słonecznych ogrodach. Mało kto wie, że są rośliny, nietylko niewymagające słońca, ale nawet lubiące półcień. Możemy je sadzić w cieniu drzew, czy krzewów i w tych wszystkich zacienionych miejscach ogrodu, gdzie zwykle panoszą się tylko chwasty.

Wybór mamy nawet wcale duży, bo należą tu rośliny ozdobne nietylko z kwiatów, ale i z liści, następnie jednoroczne, dwuletnie lub trwałe o różnych porach kwitnienia.

Zajmijmy się najpierw roślinami, kwitnącemi z wiosną, do których należą: fiołki wonne, fiołki rogate, ładniczki, niezapominajki, konwalje, orliki i pierwiosnki.

Powszechnie lubianym kwiatem jest **fiołek wonny** (*Viola odorata*). Należy do roślin trwałych, czyli bylin, kwitnących w kwietniu, a często już i z końcem marca. Nie wymaga żadnych specjalnych starań, udaje się w każdej ziemi, byle nie była za sucha. Rozmnażamy go przez dzielenie większych krzaczków na wiosnę, albo też z ukorzenionych odrostków, które odcinamy i przesadzamy co 20 cm jedne od drugich. Z nasion nie rozmnażamy fiołków w ogrodzie, ponieważ trudno kiełkują i nieraz wschodzą po roku lub później. W zakładach ogrodniczych możemy dostać różne odmiany fiołków, o kwiatach ciemno-fjoletowych, niebieskich, białych, różowych, pojedynczych lub pełnych, a także i „powtarzające", czyli kwitnące kilka razy do roku. Z południa sprowadza się także fiołki parmeńskie, o kwiatach bardzo dużych. Są to już jednak odmiany delikatne, które trzeba hodować na grządkach słonecznych, a na zimę przykrywać, żeby nie zmarzły.

Fiołek rogaty (*Viola cornuta*) jest także rośliną trwałą, podobną z kwiatów do fiołka wonnego, a z liści do bratków polnych. Łatwy do hodowli, potrzebuje ziemi średnio-wilgotnej. Rośnie i w półcieniu i w słońcu. Rozmnaża się przez siew wiosenny, lub dzielenie starych krzaczków. Kwiaty u poszczególnych odmian są niebieskie, fjoletowe, białe i żółte.

Ładniczka (*Dielytra spectabilis*), w gwarze ludowej zwana „Biskupiemi serduszkami", jest byliną, spotykaną często w wiejskich ogródkach. Daje bujne krzaki, dochodzące do 1 mtr wysokości. W maju i w czerwcu pojawiają się różowo-białe kwiatki w kształcie serduszek, wiszących jedno przy drugiem, na końcach ładnie wygiętych łodyg. Roślina jest mało wybredna, lubi półcień, ale udaje się i w słońcu. Rozmnażamy ją przez dzielenie starych krzaków na wiosnę, albo z siewu na inspekcie. Dobrze jest na zimę przykrywać ładniczkę nawozem.

Niezapominajkę (*Myosotis*) znamy wszyscy dobrze. Bardzo często używana jest do obsadzania wiosennych klombów. Kwiaty są koloru niebieskiego, białego i blado-różowego. Hoduje się niezapominajki, jako rośliny dwuletnie. Nasiona wysiewa się w czerwcu i lipcu, gdy roślinki mają już po kilka listków pikuje się je (rozsadza), a wreszcie na jesieni lub z wiosną daje się na klomby, w odległościach 15—25 cm. Na zimę trzeba je okrywać gałęziami świerkowemi. Niezapominajki udają się w słońcu, ale wolą półcień i ziemię wilgotną. Z powodzeniem można je sadzić w miejscach wilgotnych ogrodu, gdzie inne rośliny nie chcą róść.

Konwalja (*Convallaria majalis*) o pięknie pachnących białych kwiatach jest byliną, wziętą z lasów. Nie lubi stanowiska słonecznego, udaje się na ziemi wilgotnej, dobrze nawiezionej, piaszczysto-gliniastej. Rozmnaża się z nasion, które wysiewa się w czerwcu lub lipcu na rozsadniku, a na jesieni daje się roślinki na miejsca stałe, albo częściej przez dzielenie na jesieni kłączów.

Orlik (*Aquilegia*) jest wysoką rośliną, o oryginalnych, różnobarwnych kwiatach,

zaopatrzonych w ostrogi. W stanie dzikim spotyka się ją w Tatrach. Należy do bylin, udaje się w każdej ziemi, w cieniu i w słońcu. Rozmnażamy go przez dzielenie starych krzaków na wiosnę, albo też przez siew na inspekcie w marcu i w kwietniu. Orlik, uszlachetniony w hodowli ogrodowej, dał odmiany o kwiatach pojedynczych lub pełnych, w kolorze czerwonym, fjoletowym, niebieskim, białym, różowym i t. p.

Pierwiosnek *(Primula)* dzieli się na kilka gatunków, z których w ogrodzie najpospoliciej są hodowane Primula veris i Primula auricula. Kwiaty są różnobarwne, często po kilka kolorów w jednym, n. p. czerwone z żółtym, żółte z obwódką koloru lila i t. p. Pierwiosnki potrzebują ziemi dobrze nawiezionej, w miarę wilgotnej, nie lubią silnego słońca. Rozmnażają się przez dzielenie silnych krzaczków na wiosnę i w końcu lata, albo przez siew, co jest uciążliwe, bo trzeba długo czekać na wzejście roślinek. Dobrze jest na zimę nakrywać pierwiosnki gałęziami świerkowemi.

(C. d. n.). *H. Krzysiakówna.*

Z POZNAŃSKICH TARGÓW.

(GARŚĆ WRAŻEN).

...Wąska i dobrze strzeżona furtka wiedzie nas w obręb wystawy. Szeroki zato świat pracy i pomysłowości ludzkiej, roztacza się przed nami. — Snują się gromadki zwiedzających, wsiąkają w długie budynki, pełne bogactwa barw, kształtów i warkotu motorów okazowych. Wykwintne pawilony perskich dywanów, kilimów, wchłaniają miękko światło dzienne, fala dźwięków płynie z oddziału pianin i fortepianów, piękne kryształy czeskie i nasze krajowe, łamią promienie w tysiąc barw i odcieni. Tam młoda parka rozpatruje umeblowania pokoi, jadalnie, zastawione kryształami, porcelaną i srebrem, salony, sypialnie z niskiemi, francuskiemi łóżkami; wszystko wykończone do ostatniego szczegółu.



Główne wejście na Targi Poznańskie.

Inny pawilon — raj gospodyń. Częstują tutaj galaretkami i budyniami krajowej firmy „Luba“, nie ustępującemi w dobroci proszkom Oetkera, który zresztą nie zaniedbał ustawić w sąsiedztwie swego pawilonu, jakby ogromnej baby. Wciskają w ręce próbki mydła „blaskolin“, małe paczki z cukierkami miętowemi, próbki herbaty — i... wybaczcie niemiły kontrast — rolki z plasterkami na odciski. Boć tu wszystko jedno obok drugiego, oddział koło oddziału po dwu stronach wąskich uliczek.

Jeśli zechcecie wysłuchać wykładu o wyrobie stalówek, to na zakończenie uprzejmy prelegent podsunie wam kieliszek z piórami krajowemi na próbę. Tylko uważajcie, abyście ich nie pomieszali z temi, które wam o kilka kroków dalej poda prze-

dstawiciel firmy angielskiej, Warszawski Izaak, wedle adresu, podanego na wykwintnej paczuszce.

Mikroskopy, radja, lampy kwarcowe ulepszonej konstrukcji i bajeczne maszyny do sprzątania warszawskiego „Elektroluxa“, automobile (z radością obserwujemy i krajowej fabrykacji) — czegoż tam niema!

Tu murzyn - manekin, jak żywy, przewraca oczyma, uśmiecha się, podaje kartkę reklamową. A tam znów w obramieniu jednego z kiosków siedzi porcelanowa lalka — jak nieestetyczna! z krzycząco-czerwonemi wargami i popodkrążonemi nienaturalnie oczyma — wstaje, porusza się... nie! to żywa osoba! pocóż tak parodjuje się sama?



Wnętrze Hali.

Więc automaty imitujące ludzi... I ludzie, jak lalki z wystawy...

Z kolei poznajemy mały oddział górnośląski: bielizna, fartuszki, sukienki, solidne buciki na gumowych podeszwach, to wyroby biednych wygnańców plebiscytowych, 30 panienek ubogich, któremi opiekuje się doktorowa Magierowa, starając się je wyuczyć i zarobek im znaleźć.

Pomocy nie ma znikąd.

— Może Czytelniczki nasze zastanowią się nad tym szczegółem — a może zechcą też zwiedzić „Szwalnię Górnoślązaczek“ w Poznaniu — przy ul. Niegolewskich 10. — ?

M. S.

WIOSNA W GÓRACH.

Z pod zimy szat,
z pod śnieżnych szat,
w mojem pustkowiu cichem —
wystrzelił kwiat,
krokusa kwiat,
subtelnym swym kielichem,

Jakby mi chciał,
jakby mi chciał
oznajmić wieść radosną —
że i śród skał,
śród nagich skał
życie powraca z wiosną!...

E. Kłoniecki.

Z POLSKI I ZE ŚWIATA.

Ojciec św. przyjmując przedstawicieli katolickiej młodzieży rzymskiej, **podkreślił z uznaniem czynną pomoc młodzieży dla dobra prasy.** „Prasa jest w naszych czasach — mówił Ojciec św. — najpotężniejszą siłą, ponieważ w sprawach tego świata może się okazać zarówno najszkodliwszą jak i najbardziej błogosławioną potęgą. Dotyczy to i życia samego Kościoła. Gdyby się nawet nic innego nie robiło oprócz rozpowszechniania czasopism i druków dobrej prasy, to już to samo byłoby świętą rzeczą. Tem więcej i pożyteczniej czyni ten, kto osiągnąwszy rozległe wykształcenie z miłości dla Pana naszego Jezusa Chrystusa poświęca dobrej prasie pióro i zdolności“.

W Paryżu powstała Katolicka Komisja Książkowa, mająca za zadanie utrzymywać stałą wystawę książek, zapoznawać społeczeństwo za pośrednictwem miesięcznika z najlepszemi książkami i starać się o dobre przekłady dzieł wartościowych. Książki antyreligijne, niemoralne i bez wartości artystycznej nie znajdą miejsca na wystawie.

Radjo na usługach misyj. Administrator Apostolski w Ekwatorze przesyła codziennie ze swej rezydencji swoje instrukcje i ciekawe wiadomości z Europy wszystkim placówkom misyjnym swego okręgu, z których wiele znajduje się w niedostępnych górzystych okolicach.

Odsłonięcie pomnika ś. p. arcybiskupa Bilczewskiego odbyło się 21 marca b. r. w kościele archikatedralnym we Lwowie.

Rada Ministrów zatwierdziła hojną **fundację** hr. Potulickiej **na rzecz uniwersytetu lubelskiego.**

P. Reymontowa, wdowa po wielkim pisarzu, ofiarowała **uniwersytetowi poznańskiemu cenną bibljotekę.**

Wszechpolską Wystawę Filatelistyczną otwarto 3 maja b r. w Warszawie Zwraca szczególną uwagę kompletny zbiór znaczków pocztowych od 1860—1928 r. ucznia IV. kl.

Zatarg chińsko-japoński przybiera coraz poważniejsze rozmiary. Wojna nie została wprawdzie jeszcze wypowiedziana, ale istnieje stan wojenny. Sprawę komplikują stosunki obu tych państw z Anglją i Stanami Zjedn. Ameryki. Anglja godziłaby się może na okupację prowincji Szantung przez Japonję. Sprzeciwiają się jednak temu Stany Zjedn. Ameryki, widząc w tem naruszenie traktatu waszyngtońskiego z 1922 r.

W Rumunji też poważne niepokoje — lecz pilnie strzeżona granica nie pozwala rozszerzaniu się po świecie wiadomości o tej wojnie domowej.

WŚRÓD KSIĄŻEK.

Zdzisław Dębicki: „Wł. St. Reymont, laureat Nobla“. (Warszawa Geb. i Wolff 1925 r.) „Wielki charakter“ i „wielki talent“ oto dwa walne powody do naszej czci i wdzięczności, jaką mieć powinniśmy dla syna macierzy polskiej — prastarej ziemicy naszej — Władysława Reymonta.

Zdzisław Dębicki w krótkim a syntetycznym i pięknym odczycie, szkicując życie Reymonta, podkreśla cechy znamienne jego charakteru jako człowieka, omawia „szczytowe punkty“ twórczości tego wielkiego pisarza, dzięki któremu imię Polski znalazło doniosły rozgłos w świecie kulturalnym całej Europy.

„Z ziemi chełmskiej“, „Chłopi“ i „Trylogja“ to trzy najpotężniejsze objawy tego „daru Bożego“, jakim jest talent Reymonta, — to trzy wyrazy głębokiej miłości autora dla ziemi polskiej, jej ludu, jej ideałów Bożych i wolnościowych. To wyraz przekonań autora, że szczęście zdobędzie Polska nie drogą rewolucji społecznej, ale „obudzeń szerokich warstw ludu polskiego do życia obywatelskiego, do życia narodowego. Pragnął dla tego ludu takiej samej przemiany, jaka się w nim, dziecku tego ludu, dokonała w zetknięciu z duchowym dorobkiem narodu“.

Mała książeczka Z Dębickiego godna poznania dla lepszego zrozumienia wielkich i głębokich umiłowań, które ujawniły się w twórczości Reymonta, jako wyraz jego duszy. *M Al.*

Zdzisław Dębicki: „Portrety“. (Warszawa, Gebethner i Wolff 1927 r.) — Pod skromną nazwą „portretów“ całe bogactwo treści obfitej, pięknej i barwnej. To nie portrety martwe, choćby zdolną ręką artysty kreślone, — z książki wyziera żywe oblicze literatury najnowszej epoki. Przeróżne jej odgłosy, nieraz krańcowo od siebie odmienne, podchwycił krytyk, wprowadzając nas przez swą książkę w grono współczesnych nam pisarzy, z którymi, zda się, wprost jak z żywymi obcujemy.

Wychodząc z zasady, że „chcąc poznać poetę, należy pójść do jego kraju“ — kreśli autor „Portretów“ krótkie szkice życia i warunków, w których wzrastali twórcy naszej nowej literatury.

A te obrazki są prawdziwem arcydziełem literackiem. — W ciągu lektury przeżywamy atmosferę, którą oddychali nasi mistrze słowa: jesteśmy świadkami biedy, z którą szamotał się na równi jak i z wrogiem polskości twórca „Hymnów“ Kasprowicz, chłopskie dziecko, wielki poeta, co ducha mocarnego wypiastował wśród męki zewnętrznej i bolesnego zmagania się myśli. — Przyglądamy się samotnemu, w pracy ducha pogrążonemu, życiu Staffa, co schodzi wśród społeczeństwa „z dobrą mowiną miłości“, sycąc „głód słońca, dojmujący wśród pokolenia współczesnego“. — Z korną czcią spoglądamy na bojownika „Prawdy“ Świętochowskiego, czy głosicielkę hasła „trwania przy ziemi“ Rodziewiczównę, co zdrowe ziarno rzucała na glebę serc polskich — i tylu innych, co dobrze się swemu społeczeństwu piórem przysłużyli.

A z każdego szkicu wieje swoisty urok, głębia odczucia i zrozumienia tego, co wielkie, piękne i bogate w literackim naszym dorobku.

Nie są to studja skończone, ani wyczerpująca analiza dzieł — ale znamienne rysy indywidualności pisarzy polskich na przełomie 19 i 20 wieku.

Sąd krytyki o ludziach i twórcach spokojny, jasny, pogodny — wytrawny.

Wyższy nad chwilowe uprzedzenia, bezpartyjny, nieprzesądzający ostatecznego wyroku, który po latach wyda krytyka — umie autor „Portretów“ podkreślić wartości nieprzemijające w dziełach wielkich twórców, — u których ceni zarówno boży talent jak i trud ducha, dzięki któremu umieli sobie torować nieraz tak uciążliwe drogi życia.

M. Al.

OD REDAKCJJ.

Maturzystkom naszym: Szczęść Boże! — na dni egzaminu i na całe dalsze życie, które też jest jednym wielkim egzaminem z tego, co należało zdobyć w latach szkolnych.

Matura — to nie wyzwolenie się z pracy, lecz wciągnięcie się do nowej, intenzywniejszej, rozleglejszej, bardziej samodzielnej, ale i bardziej odpowiedzialnej pracy.

— Czy pamiętacie o tem?...

Janko B. z Krotoszyna — za miły liścik — dzięki. Czekam na ten „milowy", pomaturyczny. Cieszę się, że otrzymana nagroda tak Ci się podobała. — Bougaud należy do najpoważniejszych i ogólnie cenionych pisarzy.

Sokolęciu z Poznania — za list, dobre serce i chęć pomocy bardzo serdecznie dziękuję. Skoro „Dziś i Jutro" tak wiele Ci dobrego robi, to je polecaj koleżankom i znajomym. Im i nam tem się przysłużysz. Wierszyk niezły, musi jednak ustąpić miejsca dawniej czekającym. Utwory prozą i to „prawdziwe" lepiej Ci się udają. Radzę przy nich pozostać czas dłuższy.

At—ma. Próby pisarskie chętnie przyjmiemy, chętniej prozą niż wierszem. — List do Gawędziarek w następnym numerze.

Lin—tin to bardzo nieładnie tak zrażać się! Jeśli podniesiesz w Gawędach jakąś kwestję zajmującą, to Ci odpiszą.

Lilijce za liścik dziękuję, co do wierszyka odpowiedź jak wyżej do Sokolęcia. Po zdaniu matury możesz należeć do Kółka Starszych Gawędziarek.

Nieznośną z Torunia — chętnie do Gawęd przyjmiemy, ale prosimy o inny temat, ten był już obszernie w „Dziś i Juro" omawiany.

Czarne Oczko — za stanjol i list dzięki. Gawędy na później dla braku miejsca.

Mrówkę tak długo milczącą — z radością witamy. Prace swe jak dawniej przesyłaj i nie zrażaj się, jeśli nie wszystko będzie drukowane.

Fekamawa — za list dzięki — przyszedł za późno, więc Gawędy zostają do następn. numeru.

Figlarce — tę samą ślę odpowiedź.

P. W. R. w Zdołbunowie. — Dokończenie „Zdrajcy" prześlemy osobno w dniach najbliższych.

GAWĘDY PRZYJACIELSKIE.

472. Biruta do Sokolęcia 469. — Wdzięczna Ci jestem za pamięć i ponowne wciągnięcie do gawęd. Również brakowało mi ich bardzo, ale nie mogłam pisać (i zdawało mi się, że nie mogę) z powodu ogromu prrcy obecnie przedmaturycznej. Dziś piszę, mimo, że leży wkoło na biurku stos otwartych książek, czekającczch swej kolei do „powtórki".

Nie odpowiadam na Twe pierwsze pytanie, bo w tych warunkach najzupełniej się nie nudzę i nawet twierdzę, że dzień powinien mieć znacznie więcej godzin. Zresztą, odkąd pamiętam, nigdy nie miałam takich chwil, w których niema nic do roboty, i nigdy się nie nudziłam. Ale chodzi mi głównie o Milusińskich. Ujęłaś mnie nimi za serce. Nie mam młodszego rodzeństwa, więc nie mogę stale żyć z dziećmi, lecz za to w szkole urządzam sobie małe „obserwatorjum" podczas przerw, gdy rzeczywiście doskonale można im się przypatrzeć, gdyż są jedynie wtedy swobodne lub bawię się z niemi do upadłego. Od trzech lat prowadzę szkółkę (bardzo to szumnie brzmi) t. j. uczę kilku złotych uliczników (skończone łobuzy o złotych sercach) i trzy małe „kobietki". Naprawdę, ogromna to przyjemność obserwować takich minjaturowych ludzi ze swego własnego świata fantazji. Jeśli chcesz, scharakteryzuję Ci na przyszły raz mych uczni. Czy znasz pedologję?

473. Brzoza i Listek brzozy do Fjołka leśnego 468. — Ulubionym naszym sportem jest tennis, jazda na rowerze i biegi. Niedawno były u nas zawody tennisowe i piłki nożnej, więc przyglądałyśmy się im z wielkiem zainteresowaniem i jeszcze więcej polubiłyśmy sport. A Ty, który sport najwięcej lubisz?

474. Brzoza i listek brzozy do Loczka. — Nie zapomnij o Twych dawnych koleżankach i przyjaciółkach z Kępna, i domyśl się, kim jesteśmy.

475. Brzoza do Limby. — Jak przywitałaś Zakopane?

476. Lilijka do Gwiazdeczki z nad Modrego Dunaju. — Dlaczego wybrałeś sobie ten pseudonim? Bardzo mnie się podoba. Już dawno jesteś przyjęta do naszych „Gawęd" — a wcale do nich nie pisujesz. Napisz coś ciekawego!

477. Lilijka do Gawędziarek. — Jak spędziłyście święta Wielkanocne? Czy spotkała Was jaka przygoda z „dyngusem". — Mnie to spotkało, że byłam cała zlana wodą, nie miałam suchej nitki na sobie. Czy w Waszych stronach też są takie zwyczaje? Napiszcie mi coś o tem!

478- Sokolę z Poznania do Loczka 464. — Ja lubię każde święta! Nie dlatego, iż niema wtedy lekcyj, o nie! Ale każde święto ma dla mnie specjalny urok, każdy taki dzień przynosi ze sobą większą radość, zadowolenie po dobrze spędzonych dniach pracy!

479. Sokolę z Poznania do Fjołka leśnego 468. Czy ty tak bardzo rzeczywiście lubisz sporty? Ja z całem zamiłowaniem gram w tenisa, w krokiet, w piłkę siatkówkę, koszykówkę, w palanta, lubię bardzo wiosłowanie i łyżwy, ale najbardziej lubię rower! Nie masz pojęcia jak to cudownie pędzić z wiatrem w zawody, a potem spocząć gdzieś w cichym lesie! A Ty jakie sporty uprawiasz?

480. Loczek do Potoczka leśnego 460. — Trudno mi odpowiedzieć na twe pytanie. Pochodzenie mego

pseudonimu jest bardzo długie i „zawiłe“ — niech Ci starczy, że Loczek jest Loczkiem już dawno i na całe życie nim zostanie!

481. Ewa C. do Sokolęcia 469. — Zupełnie nie rozumiem, jak można się nudzić, przecież tyle jest do roboty! Zdaje mi się, że nudzimy się tylko wtedy, gdy myślimy o sobie i nie patrzymy poza siebie. Wystarczy poznać dziewczynki, które poza szkołą ciężko pracują, aby pomóc rodzicom, rodzeństwu, wystarczy zwiedzić ochronki, w których maleństwa nie mają dostatecznej opieki i wystarczy zobaczyć raz w życiu twarz dziecka rozjaśnioną uśmiechem, wywołanym przez naszą przysługę czy słówko serdeczne — aby zapalić się do pracy dla dobra i szczęścia innych. Nie umiem nudzić się, gdy wiem, że w każdej wolnej chwili mam sposobność do tego, by pomóc innym. Czy znasz ten wierszyk Rydla: „Tak mało na świecie dobroci, a *tyle* jej światu potrzeba“? Może nie wszystkie gawędziarki zgodzą się z moim zapałem, ale ja doprawdy jestem najszczęśliwsza wtedy, gdy mogę komuś sprawić przyjemność i chciałabym moje wszystkie wolne chwilki poświęcić dla tych, co potrzebują pomocy.

482. „At-ma“ do „Sokolęcia“. Twój artykulik p. t.: „Nasi Milusińscy“ spodobał mi się tak dalece, że zapragnęłam poznać Ciebie choć listownie. Mam także dziewięcioletniego braciszka, którego również szalenie kocham. Z Twego opisu wnioskuje się, że nasi mali bracia muszą być bardzo do siebie podobni. Napisz mi coś o swoim „Milusińskim“! Czy tylko swego braciszka tak kochasz i zajmujesz się nim, czy Ty wogóle lubisz dzieci?



MODY WIOSENNE i LETNIE.

Nadchodzi lato, czas miłych wycieczek, czas wakacyjny, gdy z zapałem gra się w tennisa, wiosłuje, spaceruje. Przyroda zmienia szatę na wesoło zieloną, słoneczko świeci radośnie i każdej z nas chce się także być lekką, wesołą i... ładnie ubraną. „Pani Moda“ wiedząc o tem przygotowała cały szereg nowości, by zaspokoić wszystkie gusta. Nowością bardzo modną w sezonie wiosennym jest kamizelka, którą kładzie się pod jasny kostjum w ten sposób, by była widoczną przy rozchyleniu się żakietu. Zrobiona z sukienka w żywych kolorach, trykotu lub z jakiegokolwiek innego wzorzystego materjału, może też być noszone w lecie do spódniczek plisowanych. Modne są też jumpry z materjału wełnianego, przetykanego metalowemi nitkami, złotemi i srebrnemi. Ostatnią nowością w zakresie sukienek lekkich są suknie z falbanami, plisowaniami, kokardami i t. d. Falbany kładzione na różne sposoby przy chodzeniu układają się w zgrabne draperje. Obok najmodniejszych materjałów w desenie przeważnie małe i gęste, jeden obok drugiego rozsiane, dużem powodzeniem cieszą się materjały ze szlakiem i w kwiaty.

Po dłuższej przerwie wracają do mody kapelusze słomkowe z lekkiej ładnie plecionej słomki, przybrane wstążką lub kwiatem.

Rycina przedstawia skromną sukienkę spacerową z materjału deseniowego, kołnierzyk i pasek ozdobione wstążką.

W. M.

Z PAMIĘTNIKA MŁODEGO MYŚLIWEGO...

Na okres wakacyj szkolnych podczas świąt Wielkiejnocy wybrałem się z Warszawy z przyjacielem swoim na dalekie kresy wschodnie na wyprawę łowiecką.

Polowania w lesistych bezkresnych puszczach, wśród jezior, rostów i kurhanów, wyryły głęboki ślad w mojej myśliwskiej duszy i pozostawią rozkoszne, niezatarte wspomnienia na całe życie.

Doznałem rozkoszy najwspanialszych polowań, o których marzyłem lata całe — toków.

Tok głuszców był jeszcze bardzo słaby z powodu silnych mrozów, tak, że jednego ranka, który poświęciliśmy na głuszce, koguty nie odzywały się wcale, a drugiego, jeden kogut grał, grał zapamiętale, grał cudnie, namiętnie i swym tajemniczym głosem, trudnym do usłyszenia dla niewprawnego ucha nawet w największej ciszy leśnej, głosił radość życia, piękna, wiosny i miłości.

„Paniczu, hrajek“ szepnął mi w ucho zaledwie dosłyszalnym głosem gajowy i zaczęliśmy podchodzić. Z wrażenia traciłem prawie panowanie nad sobą. A głuszec grał, grał i płynęła nieprzerwaną falą pieśń dziwna, tajemnicza, pieśń niepodobna do żadnego innego głosu w przyrodzie.

A my skaczemy i co chwila, bez względu na to, co mamy pod nogami, stajemy jak wryci, jak wykuci z kamienia.

Odległość od grającego koguta dzieli nas jeszcze znaczna i ciemno jeszcze prawie zupełnie, gdzieś z dalekich bagien doleciał naszych uszu trzykrotny, ostry hejnał żórawi.

Dajemy jeszcze parę sążnistych kroków, gdy nagle skamieniałem, oto gajowy idący przodem, pośliznąwszy się o mokry korzeń drzewa, runął jak długi w bagno. Sekunda ciszy, ciszy przejmującej dreszczem trwogi — głuszec umilkł.

Po chwili w dali, w czarnych otchłaniach leśnych zamajaczył olbrzymi cień zrywającego się z potężnym łopotem zestraszonego koguta.

Prysnął czar, wszystkie trudy i zabiegi okazały się daremne — myśliwy „nie doszedł“ głuszca.

A głuszec poleciał, poleciał, unosząc z sobą najdroższy skarb — życie. Poleciał, aby nazajutrz, gdzieś wśród dzikich bagien leśnych głosić w dalszym ciągu pieśń szczęścia i radości. Głuszca nie zabiłem, ale wrażenia, jakich doznałem, słuchając tego leśnego trubadura, są dla mnie tysiąc razy więcej warte i droższe od miljonów głuszców na półmisku.

Toki cietrzewie udały nam się lepiej, chociaż trwały zaledwo przez cztery dni, bo później zrobiło się tak zimno i spadły takie śniegi, że cietrzewie przerwały swoje wiosenne rycerskie zapasy i zaczęły zbijać się w stada, tak jak podczas zimy.

Cudna jest pieśń tych czarnopiórych rycerzyków i wyniosłem z polowań na ich tokowiskach jak najmilsze wrażenia.

O porannej zorzy, gdy niebo na wschodzie zapala się czerwoną łuną, cały las rozbrzmiewa dokoła grą rozkochanych cietrzewi. Jedna pieśń przelewa się w drugą i tak płynie melodyjna, upajająca pieśń, będąca dla myśliwego najpiękniejszą muzyką. Każdego ranka wychodziłem z budki jak pijany, byłem tak oszołomiony i oczarowany pieśnią cietrzewich kogutów.

Cudne jest takie polowanie na wieczornym ciągu słonek, gdy słońce zajdzie i cała puszcza powoli układa się do snu, gdy milkną głosy leśnych śpiewaków, wówczas to nad błotkiem, porosłem karłowatą brzeziną, przeciąga, niby leśny duch, słonka, zdecydowany wróg wszelkiej kultury.

Przeciąga śpiesznie, wydając sterówkami charakterystyczne chrapanie, przeplatane nieco świszczącym głosem.

Późno już wieczorem wraca myśliwy z tego polowania, a dusza jego doznaje uczucia jakiegoś dziwnego rozrzewnienia, szczęścia i ukojenia. Najmniej udały nam sią polowania na jeziorach, gdyż całe stały skute lodem, a tylko brzegi miejscami były odmarznięte.

Cudne są te bezkresne pola lodowe zamarzniętych jezior otoczonych dookoła świerkowymi lasami.

O wy kochane kresy, tchnące bezgraniczną dziczą piękna przyrody! ile wam wrażeń zawdzięczam! ile przyjemności! Szalenie miły był wjazd do tych litewskich rubieży. Tam kraj inny, kraj dziki i stokroć piękniejszy!

Odrazu na wstępie przywitał nas daleki bełkot cietrzewi, zaczem wózki zatrzymały się przed domem przeleciało nad naszemi głowami kilka stadek różnych kaczek, gdzieś w głębiach leśnych zakwilił żałośnie olbrzymi jastrząb.

A żegnała nas sroga białoruska zima, szumiały uginające się pod ciężarem śniegu wyniosłe jodły, świerki i wiekowe sosny, puszcza pokryta śnieżnym całunem przybrała się jakby odświętnie na nasze pożegnanie. Wyjeżdżając, miałem łzy w oczach i jakieś dziwne dławiące uczucie dusiło mnie nieznośnie za gardło. Obecnie jestem znów w Warszawie, znów zaczęła się codzienna szara praca, hałas i ruch wielkiego miasta drażni mnie po tej wiejskiej ciszy, wśród której ciało się męczyło, ale duch odpoczywał i ukajał się z każdym dniem więcej i więcej...

Chwilami zdaje mi się, że to wszystko był sen tylko, jeden wielki, cudowny sen. Do dziś dnia w uszach mam daleki bełkot cietrzewi, a przed oczyma stoją mi olbrzymie, czarne głębie leśne.

Jan Markowski
ucz. VI. kl. gimn.

Warszawa, dnia 22 kwietnia 1928 r.

WYNIK KONKURSU
na zdobycie prenumeratorów.

Największą ilość prenumeratorów zdobyła p. A.K. z Warszawy, wobec tego szal batikowy został jej przyznany w nagrodę.

Kto zdobył najwięcej punktów?

561 !!! — Zofja Flisówna z Nowego Sącza; 117 !! — Z. Topczewska ze Stanisławowa; 94! — W. Olexówna z Witaszyc; 85 — Leon Borowski z Warszawy.

Przyznano jako nagrody: 1. „Opowieści Chrystusowe“ — Marji Czeskiej-Mączyńskiej, 2. „Płomień ofiarny“ — O. M. Lekeux, 3. „Dom Jałowcowy“ — Emila Zegadłowicza, 4. „Mój lot“ — Bolesława Orlińskiego.

Kto pragnie otrzymać przyznaną nagrodę, niech łaskawie nadeśle znaczek 50 gr. na koszta przesyłki.

WYNIK KONKURSU DLA MIŁOŚNIKÓW NAUKI.

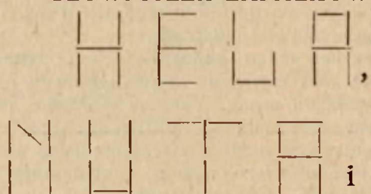
I. nóżka pszczoły; II. grzebykowate pazurki na nogach pająka; III. zatoka Karabugas (morze Kaspijskie).

Ponieważ nikt nie odpowiedział na wszystkie 3 punkta, wobec tego nikomu nagrody nie przyznano.

Rozwiązania Łamigłówek

Z NUMERU 4-ego:

SŁOWNICZEK ZAPAŁKOWY.



i t. d.

SZARADA.
Kartagina.

Z NUMERU 5-ego:

WIERSZ DO ODCZYZANIA.

„Szkoda“.

Szkoda pereł, które giną w mórz toni,
Szkoda uczuć, które młodość roztrwoni,
Szkoda męstwa, gdy nie przyjdzie do starcia
I serc szkoda, co nie mają oparcia.

Adam Asnyk.

SZARADA.
Gramatyka.

Z NUMERU 6-ego:

ŁAMIGŁÓWKA KRZYŻYKOWA.

■	■	h	o	■	i	ł	■	P	o	■	■
■	m	o	r	g	■	■	k	a	n	t	■
k	■	p	a	w	■	■	o	r	a	■	a
o	■	■	z	a	t	o	r	y	■	■	u
l	e	k	■	r	u	d	a	■	l	o	t
e	r	o	s	■	r	a	■	w	i	n	o
j	a	s	ł	o	■	■	h	o	n	o	r
■	■	■	a	■	o	ś	■	j	■	■	■
g	ł	o	w	a	■	■	k	a	t	a	r
ł	a	w	a	■	a	s	■	k	u	r	a
o	n	a	■	i	z	a	k	■	m	a	j
g	■	■	p	l	a	k	a	t	■	■	c
i	■	m	o	l	■	■	s	a	d	■	a
■	m	a	r	a	■	■	a	r	a	b	■
■	■	k	a	■	o	b	■	a	r	■	■

TREŚĆ Nr. 10.

Mehoffer: Zesłanie Ducha św., 173. — S. M. T.: Veni Creator, 173. — St. Przybyszewski: Życzenia maturyczne, 174. — E. Kłoniecki: Uśmiechnęła się wiosenka, 174. — M. Zł.: Po maturze, 175. — C. Wolniewiczówna: Podajmy siostrom naszym dłoń! 176. — L. Życka: Aldona i Grażyna, 177. — F. Dobrowolska: Gam-Zu, 179. — A. Kwiecińska: Zdrajca, 181. — M. Zmigrodzka: Moja pierwsza pensja, 183. — H. Krysiakówna: O roślinach ogrodowych, 185. — M. S.: Z Poznańskich Targów, 186. — E. Kłoniecki: Wiosna w górach, 187.. — Z Polski i ze świata, 187. — Wśród książek, 188. — Od Redakcji, 189. — Gawędy przyjacielskie, 199. — Mody wiosenne i letnie, 190. — Jan Markowski: Z pamiętnika młodego myśliwego, 191. — Wynik konkursu, 192. — Łamigłówki 192.

Warunki prenumeraty „Dziś i Jutro“:

Kwartalnie 3 zł., półrocznie 5 zł. 50 gr., rocznie 10 zł. — W Ameryce 2 dolary.

Za „**MAŁY ŚWIATEK**“ prenumerujący „Dziś i Jutro“ dopłacają rocznie zł. 3 50, półrocznie zł. 1·80, kwartalnie 90 gr.

Adres Redakcji i Administracji: **Kraków, ulica Starowiślna 3.** — Konto P. K. O. 404.930.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor:
Julja Felicja Bronikowska.

Odbito w Drukarni Polskiej w Krakowie.


DRVKARNIA·POLSKA
KRAKOW